

Fragmety wywiadu-rzeki z Emanuelem Łopatto

Za wszelką cenę odnaleźć ojca

W roku 1946, po „repatriacji” z Wilna do Torunia, osiemnastoletni wówczas Maniuś postanowił odszukać na zachodzie Europy ojca, który po aresztowaniu przez bolszewików w roku 1940 trafił do Armii Andersa. Po wielu latach w rozmowie z dawnym towarzyszem broni Emanuel opowiedział, jak przebrnął przez strzeżoną granicę i pułapki okupowanego Berlina, uzbrojony jedynie w zdolność logicznego myślenia odziedziczonego po Łopattach i Kobeckich, praktyczną znajomość psychologii zdobytą w czasach, gdy zastąpił ojca w zarządzaniu folwarkiem oraz wyniesiony z partyzantki instynkt łowcy, który nie może sobie pozwolić na bycie zwierzyną.

Wiesław Mincer: Pojechaliśmy do Szczecinka i tam zaczęliśmy pracować. (...) Ja byłem kierownikiem sklepu z żelazem, a ty kasjerem w tym sklepie, który należał do Związku Walki Młodych. (...) A jakie były Twoje dalsze losy? Bo już tutaj nasze drogi rozeszły się.

Emanuel Łopatto: To było wiosną 1946 roku, na tydzień przed Wielkanocą. Świątowano 600-1ecie słowiańskiego, odwiecznie polskiego Szczecina. (...) Dostałem z tej okazji delegację z biletem i kuponami na spanie, na jedzenie. Pomyślałem, że tam prawdopodobnie spotkam ludzi, których znałem z Wilna i że właściwie może przy tej okazji coś mi się uda załatwić. Bo darmowy, trwający ponad tydzień pobyt w mieście przygranicznym stanowił okazję. I rzeczywiście, spotkałem dawną łączniczkę, która pracowała w Ministerstwie Rolnictwa, będącym wówczas w gestii Mikołajczyka. Przyjechał i sam Mikołajczyk, harcerze go podnosili razem z jego volkswagenem. Był tam też minister spraw wewnętrznych.

WM: Ach, to był ten słynny zlot harcerzy w Szczecinie, na który przybył Mikołajczyk...

EŁ: Tak, to była duża impreza, Gomułka też się pojawił. Odbываły się defilady, a obecni na

trybunie rozeszli się dopiero wtedy, kiedy zagrano hymn narodowy, bo wówczas wszyscy ludzie stanęli na baczność. Takie były wymogi bezpieczeństwa – przy dźwiękach hymnu podjeżdżały samochody i zabierały dygnitarzy. Ja byłem zadowolony ze spotkań ze znajomymi. Dzięki tej sekretarce, byłej łączniczce AK, dostałem skierowanie do Świnoujścia na państwową posadę jedenastej kategorii. Wystawiła mi piękny dokument z pieczęciami i tak stałem się urzędnikiem. Musiałem tylko dojechać do Świnoujścia.

WM: W jakiej instytucji miałeś pracować?

EŁ: W Ministerstwie Rolnictwa. Kwestia dojazdu była dosyć skomplikowana. Jedyny środek lokomocji, który docierał do Świnoujścia, to był statek kursujący raz w tygodniu, we czwartek rano. Właśnie czwartkowego ranka dostałem to skierowanie. Pomyślałem, że jeżeli nie zdążę na ten statek, ja, repatriant z Wilna, człowiek bez niczego, mający za cały dobytek niepozorny plecak i skierowanie do pracy, to muszę dostać się tam inaczej. Przejadę na tamtą stronę, do Pasewalka i ruszę pod kątem prostym do Świnoujścia. To był pomysł. Żeby dojechać do Pasewalka, trzeba było wsiąść na jakąkolwiek ciężarówkę, a było ich mnóstwo, bo przyjeżdżały do portu w Szczecinie, okupowanego przez armię sowiecką. Wyładowywano z nich towar i puste wracały. Chcąc załatwić sobie miejsce na ciężarówce, poszedłem zygzakowatym przejściem wśród ruin do wartownika.

Trafiłem na młodego chłopaka, zaczęliśmy rozmawiać. Wygadał się, że skradziono mu pepeszę, czy tam karabin, kiedy był pijany. Rzeczywiście miał ze sobą tylko nagan. Powiedziałem mu, że może tę broń łatwo odzyskać, za litr wódki. – Ale ja nie mam litra wódki – powiedział. – To ja przyjdę jutro, wsadzisz mnie na auto i otrzymasz litr wódki. Pójdiesz z tym do tej knajpy, gdzie ci broń

Emanuel Łopatto,
narrator opowieści
o uwieńczonej sukcesem
podróży na Zachód.



Fot. archiwum ZKP

skradli i zaproponujesz wymianę – odpowiedziałem mu.

Następnego dnia jakiś starszawy Niemiec wracał olbrzymią, zupełnie pustą ciężarówką. Mój żołnierz zatrzymał go niby do kontroli i kazał mi wsiadać, patrząc prosto w twarz kierowcy, który nie miał nic przeciwko temu.

Pojechaliśmy. To było kilkanaście kilometrów do granicy. Po drodze zacząłem go wypytywać moim łamanym niemieckim, ale dla niego dość jasnym, jak tam jest na granicy. – No, do kół do środka nie zaglądata, ale poza tym sprawdzają wszystko, to jest podwójna granica – powiedział. Troszeczkę mi wyjaśnił, jak sprawy stoją i w ostatniej wsi przed granicą wysiadłem z jego wozu. Dalsza jazda byłaby bezsensowna, bo nie mogłem liczyć na to, że w sfoferce zostanie niezauważony, a ciężarówka była pusta i nie miałem się w czym schować.

Idę sobie przez wieś i spotykam dwóch oficerów z WOP-u. Popatrzyli, spytali, skąd jestem. Wytłumaczyłem. Tylko się roześmieli. – Przecież to granica państwowa – powiedział jeden z nich. Mówiłem, że na mapie to tak blisko. – No cóż, to by było podwójne przekroczenie granicy, rzecz absolutnie wykluczona. Pytam, co mam robić, rano odpłynął mój statek, na który nie zdążyłem, jest czwartkowy wieczór, nie mam gdzie spać ani za co jeść, a muszę tydzień przeczekać. – Trzeba iść do sołtysa – powiedzieli – i powołać się na naszą rozmowę, on coś zaradzi, da nocleg.

Sołtys, człowiek oczywiście ze Wschodu, który tam całkiem nieźle sobie żył z jakąś dziewczyną, przyjął ode mnie pół litra, postawił kolację. Jemy, pijemy, wszystko normalnie. Postanawia porozmawiać z wopistami następnego dnia, bo akurat jedzie po konia. – Jakiego konia? – pytam. Odpowiada, że na razie rozdzielają konie duńskie – po jednym koniu na wioskę. Pytam, kto nim będzie orał – co to jest, jeden koń na wioskę. Mówi, że najpierw przez cztery godziny on będzie orał jako szef wioski, potem każdemu przyzna cztery godziny po kolei. Pytanie, jak długo koń będzie orał.

Ale rzeczywiście, raniutko, przed wyjazdem sołtys pogadał z wopistami. Przyszło ich dwóch, potem trzeci i jeszcze czwarty. Dziewczyna sołtysa przygotowała dla nas posiłek i picie, graliśmy w oczko i udało mi się nieźle ich ograć. To byli bardzo fajni ludzie, z Lidy, z Landwarowa – ogólnie z Wileńszczyzny. W końcu powiedzieli, że zobaczą, co się da zrobić i żebym przyszedł po południu, bo ich zmiana zaczynała się wieczorem – akurat mieli być razem. Zgodzili się mnie wsadzić na pierw-

Fot. NAC



szą ciężarówkę, żebym mógł z Polski wyjechać. Za resztę nie dawali gwarancji.

Zostałem na obiedzie i porozmawiałem trochę z tą miłą dziewczyną, nabrałem animuszu. Pamiętam, że jak odchodziłem z tej wsi, to zając przeleciał mi przez drogę – pomyślałem, że może to i na szczęście. Pogoda trzymała, przyszedłem na miejsce pod wieczór, ale dowiedziałem się, że od kilku godzin ruch zanikł, nic nie jedzie. Był Wielki Piątek. Czekaliśmy, może coś się zdarzy. Zrobiło się chłodno, skupiliśmy się przy piecyku, gadamy, przychodzi plutonowy i pyta, co ten cywil tu robi. Poszliśmy do jego biura, tam wisiała ogromna mapa, na której mu pokazałem zaplanowaną wcześniej trasę – to przecież takie proste. – Tak – mówi, proste, ale przekroczenie granicy państwowej... Porozmawialiśmy dialektycznie dobre pół godziny na wszystkie możliwe tematy i nagle on oznajmił: – Ja ciebie, chłopcze, nie widziałem. Mnie tu nie ma. Dobranoc, idę spać.

WM: Porządny człowiek. Wtedy ta granica była jeszcze trochę dziurawa. Wiem, że ludzie przechodzili nie tylko w okolicach Szczecina, nawet pośrodku granicy, koło Słubic.

EL: Tak, ale łapali ich na pierwszej stacji kolejowej. To była pułapka nie z tej ziemi. Łapali, strzygli na zero, skazywali na pięć lat robót i kiedy zebrali dostateczną liczbę na jedną ciężarówkę, odsyłali do UB w Szczecinie. O tym jednak dowiedziałem się później. W danej chwili otaczała mnie noc, nic poza nadzieją mi

Szczecin 1946 r. – miasto ruin powoli zaczynało ożywać. Po szynach znowu zaczęły mknąć tramwaje.

Rodzice Manusia,
Zofia z Kobeckich i Jerzy
Łopattowie. Wilno,
lata 20. XX w.



Fot. archiwum ZKP

nie pozostawało, nawet papierosy się kończyły. Siedziałem więc obok tego piecyka i spałem. Nagle mnie budza, jest już siódma rano i patrzę – stoi ciężarówka. Wopiści rozmawiają z kierowcą, potem każą mi wsiadać, a tam kilkunastu ludzi z czerwonymi opaskami na rękawach, czyli sowiecki patrol. Wsiadam, otwiera się szlaban i jedziemy. Zdjąłem tylko czapkę, a kurtkę miałem taką trzy czwarte, skórzaną, zupełnie jak enkawudzista.

WM: Pamiętam Cię w tej kurtce.

EŁ: Nosilem ją dla śmiechu. I buty z cholewami. Ale teraz siedziałem na dnie ciężarówki sowieckiej. Opowiedziałem jakąś historię na swój temat. Oni jechali, aby dla dowództwa w Szczecinie sprowadzić kilku szewców, kilku krawców, słowem, różnych rzemieślników do obsługi sztabu. Każdy z nich miał wyznaczony odpowiedni cel na trasie, tam miał zebrać ludzi. Po kilku kilometrach dojeżdżamy do sowieckiego szlabanu. Pierwszy się otwiera, przejeżdżamy, szlaban się zamyka, a zaraz jest następny. Z prawej i z lewej stoją dwie wieżyczki obsadzone ludźmi z CKM-ami wymierzonymi prosto w nas. Podchodzi patrol, proszą oficera z naszej ciężarówki, ten idzie do budki strażniczej, a tymczasem rozpoczyna się kontrola dokumentów siedzących naokoło mnie bojców. Ja patrzę sobie na pogodne niebo, jak

gdybym siedział gdzieś na gałęzi, a nie w ciężarówce pełnej Sowietów. Po drugiej stronie sprawdza inny patrol, kontrola idzie szybko, oficer wraca, wsiada, patrole odchodzą, szlaban się podnosi i odjeżdżamy.

WM: A Tobie żadnych dokumentów nie sprawdzano?

EŁ: Prawdopodobnie albo wzięli mnie za tłumacza, albo jeden patrol myślał, że drugi mnie sprawdził. Siedziałem nieruchomo, bo nic lepszego nie mogłem wymyślić. Gdyby mnie wzięli, to musiałbym wyjaśniać, a zapytany o moją tożsamość któryś z bojców być może przyznałby, że to polscy wopiści mnie wsadzili.

WM: Trochę szczęścia.

EŁ: Przede wszystkim. Pojechaliśmy dalej, opowiedziałem im cały szereg kawałów, pękali ze śmiechu. I tak na wesolutko, jeden z nich mi mówi, że jedzie właśnie w tym kierunku, na Świnoujście, pociąg odchodzi o dwunastej, muszą się tylko zameldować w dowództwie w Pasewalku, a potem pojedziemy razem. Wyszadłem w Pasewalku i miałem następny problem. Poszedłem na dworzec, przez miasteczko w dużej części zburzone.

WM: Pasewalk należał już do sowieckiej strefy okupacyjnej?

EŁ: Tak, znajdował się 40 czy 50 km od granicy. Stamtąd odchodziły pociągi do Berlina. Wiedziałem, że nie jest to pierwsza stacja kolei niemieckiej, ale druga czy trzecia, licząc od granicy. Dworcowy zegar chodził i wskazywał dziewiątą – ja nie miałem zegarka. Dowiedziałem się, że pociąg do Berlina odchodzi o szesnastej, czyli za siedem godzin. Problem polegał na tym, po pierwsze, gdzie przeczekać czas do dwunastej tak, aby nie spotkać Sowietów z ciężarówkami, którzy przyjdą na pociąg do Świnoujścia. Takie spotkanie byłoby trochę nieprzyjemne. Po drugie – jak dotrzeć aż do pociągu berlińskiego. Po trzecie – mieć w kieszeni bilet. Marki oczywiście miałem, ale na dworcu były dwie kasy: jedna wojskowa, rosyjska, zamknięta i jedna niemiecka – otwarta, na której było napisane, że do zakupu biletu potrzebne jest pozwolenie na podróż. Pomyślałem, że trzeba szybko się decydować, bo kiedy zamkną także i drugą kasę, nic już nie wskóram. Bez biletu nie było co myśleć o podróży. Zrobiłem kilka okrążeń po placu, żeby się skoncentrować i podjąłem decyzję. Podszedłem energicznym krokiem pod okienko – nie było żadnego ruchu o tej porze – i powiedziałem dziewczynie: „Dwa bileta w Berlin”, po rosyjsku, głosem raczej pewnym i groźnym.

WM: Dlaczego dwa?

EŁ: Dlatego, że ona musiała zrozumieć, że ten drugi kupuję dla kogoś ważniejszego ode mnie, a u niej tylko z tego powodu, że kasa rosyjska jest chwilowo zamknięta. Pomyślałem, że to ją upewni, że ja jestem ważny, ale mój niewidoczny towarzysz jest jeszcze ważniejszy. Rzeczywiście, popatrzyła na mnie mocno przestraszona, położyła dwa bilety, zapłaciłem i odszedłem, jakbym kupił dwa jabłka na straganie. Tym razem się udało.

WM: A skąd miałeś marki niemieckie?

EŁ: Kupiłem w Polsce, wtedy przelicznik był jeden do jednego. Zresztą wiedziałem, że skoro planuję jazdę do Niemiec, to muszę mieć pieniądze. Oprócz marek miałem tylko to, co wygrałem w oczko.

Teraz należało gdzieś przeczekać do dwunastej. Gdybym się zaszył w jakimś kątku, zaraz ktoś by mnie zauważył i doniósł. Wszedłem na peryferie i zacząłem iść przed siebie, starając się wyglądać jak człowiek, który zmierza do określonego celu, a nie jak ten, który ogląda okolicę. Musiałem zdobyć pewność, że dwunasta minęła, obserwując słońce, bo nie miałem zegarka, a jedyny zegar, jaki miałem do dyspozycji, znajdował się na dworcu, do którego nie mogłem się zbliżyć. To było bardzo żmudne. Szedłem, czasami usiadłem, coś zjadłem, kończyły się papierosy. Wreszcie stwierdziłem, że południe już chyba minęło i powróciłem w okolice dworca.

Było już trochę po dwunastej i teraz myślałem, gdzie mogę niezauważony przeczekać do czwartej. Bo już nachodziłem się sporo po tym miasteczku i jak ktoś mnie zobaczy po raz trzeci, stanę się podejrzany. Znalazłem duży plac z fontanną, oczywiście wyschniętą i rozwaloną, skąd było widać i słyszeć zegar dworcowy, odmierzający kolejne godziny, które mijały bardzo powoli. Siadłem pośrodku placu, bo dla przechodniów człowiek, który siedzi w centrum placu, nie jest tym, który się chowa, nie wzbudza więc podejrzania. Jeżeli spotkam patrol rosyjski, to zagadam po niemiecku, jako cywil i oni nie będą się czepiać. Nie było zresztą dużo patroli. A jeżeli przyjdzie niemiecki, to im fuknę po rosyjsku i pójdą sobie, skąd przyszli. Nic innego nie mogłem sobie wyobrazić.

To były długie godziny, mijały powoli, znowu coś zjadłem. Nareszcie o trzeciej trzydzieści mogłem pójść na dworzec jak zwykły pasażer, usiąść w poczekalni. Zebrało się trochę tych podróżników, przyjechał pociąg, wsiedliśmy do wagonu. Z uśmiechem pomogłem paru starszkom, nic się nie odzywając. Pojechaliśmy.

Przyszedł kontroler, starszy człowiek, patrzył tylko na ręce pasażerów, przedziurawił mi bilet. Wszystko było w porządku.

WM: Żadne pozwolenie już nie było potrzebne?

EŁ: Pozwolenie należało okazać w kasie, w pociągu już nie, bo skoro miałeś bilet, musiałeś wcześniej mieć zgodę. Niemcy są narodem bardzo uporządkowanym.

Podróż trwała prawie cztery godziny, bo już po zmroku wysiadłem na Dworcu Wschodnim w Berlinie. To działo się w Wielką Sobotę. Wszedłem stamtąd i widzę sześć wagonów S-Bahn, pięknie oświetlone, wsiadam więc. Nawet druga klasa miała miękkie fotele. Chcę jechać dokądkolwiek. Czekam, jak w tramwaju, na konduktora, ale tam konduktorów nie ma, bilety kupuje się wcześniej,

WM: Te S-Bahny chodziły wówczas między Wschodnim a Zachodnim Berlinem. Można było wysiąść spokojnie w zachodniej strefie i po krzyku.

EŁ: Przede wszystkim byłem przekonany, nie wiem dlaczego, że Berlin jest jak środek tortu i cztery strefy tam się stykają, że jak przyjeżdżam z jednej strefy do drugiej, to już potem mam wolny wyjazd na zewnątrz. Nie miałem pojęcia, że Berlin był pułapką.

WM: To znaczy?

EŁ: Można było do niego dojechać, ja już dojechałem, ale nie wiedziałem jeszcze, co mnie czeka. Myślałem, że wystarczy znaleźć się w strefie francuskiej, brytyjskiej czy amerykańskiej, aby być już na Zachodzie. A byłem w zachodniej strefie, otoczonej strefą wschod-

Szczecin w 1946 r. był miejscem, z którego, jak się okazało, jeszcze stosunkowo łatwo było trafić do Berlina.



Fot. NAC

nią. Na razie jechałem S-Bahnem, wypatrując na prawo i na lewo jakiegoś napisu. Kolejka się zatrzymywała, ruszała, ale w pewnej chwili ruszyła do tyłu, więc stwierdziłem, że to nie ma sensu, bo wróć, skąd jadę, wysiadłem więc. Była to stacja podmiejska, dwupoziomowa – inna linia jechała dołem w poprzek. Wsiadłem do pociągu, jadę z 10 przystanków i sytuacja się powtarza, bo znowu ruszamy do tyłu. Pomyślałem, że w ten sposób nigdzie nie dojadę, nie wiem nawet, gdzie jestem. Wsiadam, widzę staruszkę w czerwonej czapce i nikogo więcej dookoła. Właśnie odjeżdża pociąg z drugiego poziomu, odjechał też mój. Pytam o Aleksander Platz, bo wiem, że on jeszcze należy do strefy sowieckiej. Zawiadowca stacji coś mi tłumaczy, ale mówi też, że już jest godzina policyjna i że więcej pociągów nie będzie. Dopiero jutro. Przespałem noc na siedząco przy piecyku, teraz przebieję następną wśród gruzów. Powiedziałem mu do widzenia i poszedłem zygzakami za róg.

WM: A nie można było się zorientować, do jakiej strefy trafiłeś?

EŁ: Wszystko to działo się jeszcze w strefie sowieckiej. Odszedłem, żeby na wszelki wypadek stracić kontakt z tym staruszką, bo teoretycznie mógłby na mnie nasłać patrol. Ale przypuszczam, że poszedł spać zaraz po wygaszeniu światła. Wśród tych ruin znalazłem sobie kąciak, pogoda była niezła, więc jak zwykle siadłem, zakładając czapkę na nos, a pod łokieć wsuwając mój coraz bardziej pusty plecak, i zdrzemnąłem się. Obudziłem się rano, słysząc, że S-Bahn już chodzi.

WM: Spałeś daleko od dworca?

List od ojca, Jerzego Łopatto (drugi z lewej), służącego w jednostkach technicznych RAF, był wskazówką i przepustką w tej niezwyklej podróży.



Fot. archiwum ZKP

EŁ: Paręset metrów. Zobaczyłem starszych ludzi ubranych na ciemno, idących do kościoła, poszedłem za nimi, a jednego, który szedł osobno, spytałem o amerykańską strefę. On powiedział: czwarty przystanek, trzeba potem zejść i jechać tramwajem. Pojechałem cztery przystanki, zobaczyłem ten tramwaj, wskoczyłem do niego i ujrzałem napis: „Wy ujeżdżajecie iz sowieckoj zony”. I tak raniutko, na śniadanko, wjechałem tramwajem na Zachód. Zobaczyłem jeepy prowadzone prawie zawsze przez czarnego szofera, obok siedział biały, z opaską na ramieniu M.P. – Military Police [Żandarmeria Wojskowa – przyp. red.].

WM: I już czułeś się szczęśliwy.

EŁ: Tak, pomyślałem, że pomiędzy mną a celem nie ma już przeszkód. Przypuszczałem, że teraz czeka mnie druga podróż i jedyny problem widziałem w tym, że jest niedziela. Pewnym głosem zapytałem w tramwaju, gdzie znajduje się dowództwo amerykańskiej strefy okupacyjnej, powiedziano mi na jakim placu, wysiadłem i zobaczyłem wspaniały pałac, przed którym stało trzech strażników, jeden od drugiego w odległości kilkunastu metrów, nogi rozstawione szeroko, karabin u nogi. Poszedłem do jednego z nich, trafiłem akurat na jakiegoś mieszkańca Kalifornii, który umiał trochę po polsku i on mi powiedział, że absolutnie wszystko jest zamknięte. Była Niedziela Wielkanocna. Stałem tam, rozmyślając, co teraz mam robić. W pewnej chwili otwierają się drzwi paradne i schodzi cała grupa mundurowych. Jeden z nich niesie na rękę złożoną flagę, stają na baczność, drugi spuszcza linkę, salutują, wciągają flagę na maszt i znikają, tak jak przyszli. Wracam do Kalifornijczyka, który mi tłumaczy, że moją sprawę należy przedstawić policji, Military Police, a nie zarządowi administracji wojskowej. Miał rację. Objaśnił mi mniej więcej, gdzie to jest. Poszedłem i rzeczywiście widzę bramę do parku i dalej położone pałace. Zaglądam do budki strażnika. Na podłodze leży pies, na stole karabin, obok taca z filiżanką kakao i dwoma biszkoptami, zupełnie jak u Sztrala [cukiernia w Wilnie – przyp. red.], ale strażnika nie ma.

WM: Najlepszy to był ten karabin.

EŁ: Tak, pozostawiony karabin i pies, który spi i ta nietknięta filiżanka. Postanowiłem czekać na strażnika, ale pierwszy przyszedł jakiś cywil. Przedstawiłem mu króciutko, po niemiecku, swój problem, powiedział, że mogę z nim jechać, on akurat tam się wybiera, bo tutaj rozpatruje się tylko sprawy wojskowe, a sprawy cywilne dotyczące policji wojskowej

w innym miejscu. Jedziemy tramwajem, pytam, czy może ma papierosy, potwierdza, pytam, ile to kosztuje. 10 marek. Daję mu 10 marek i dostaję jednego papierosa, nie paczkę. Zrozumiałem, że trzeba chyba przestać palić.

WM: Papierosy to wtedy była najsilniejsza waluta w Niemczech. (...)

EŁ: Na razie zapaliłem tego papierosa za 10 marek jako luksus, nagrodę za to, że dojechałem. Normalna płaca wynosiła 150 marek miesięcznie i wszystko było na kartki. Absolutnie nic bez kartek nie było osiągalne. Dowiedziałem się, że bochenek chleba można dostać za sto marek, ale tylko w sowieckiej strefie, gdzie działał, choć skromnie, czarny rynek. Dla mnie problem polegał na czym innym – chciałem wiedzieć, co dalej? Mój niemiecki przewodnik był tłumaczem u Amerykanów, zaprowadził mnie na miejsce. Wybrałem jednak innego tłumacza, Rosjanina, bo w jego języku wypowiedzieć mogłem wszystko. Pojawił się staruszek, widać, że jeszcze z dawnej emigracji.

WM: Ale oni mieli i polskich tłumaczy.

EŁ: Tak, lecz do wyboru miałem tylko tych dwóch. Rozmawialiśmy we trójkę, mundurowy mnie indagował, staruszek tłumaczył. Powiedziałem, że zwiąłem, że mam list ojca, pokazałem go, ten popatrzył zdziwiony, bo nigdy chyba nie widział listu pisanego na blankiecie RAF-u. Wyjaśniłem mój problem, że oto jest niedziela, a ja nie mam żadnej możliwości nawiązania kontaktu z tymi, którzy mogliby mi powiedzieć, jak dotrzeć do ojca. Bo nie znałem nawet tego punktu na mapie, gdzie ojciec przebywał. Byłem pewien, że wystarczy dotrzeć do chwili, gdy otworzą biura, a tam już uzyskam pomoc, kontakt telegraficzny czy inny, z moim ojcem, który się znajduje w Brytyjskiej Strefie Okupacyjnej Niemiec wraz z innymi żołnierzami lotnictwa polskiego, działającego przy angielskim.

Zrozumiał, zawołał, wskazał mi jeepa: „Oni pana zawiozą”. Wsiadłem. W aucie był czarny szofer i jeden biały. Pojechaliliśmy w nieznanym mi kierunku, bardzo daleko, w okolice bardzo zielone, jak to na wiosnę, obok jakiegoś jeziora. Dojeżdżamy do bramy, która otwiera się, bo stróż zobaczył wóz amerykański. Zakręcamy pod podjazd pałacyku, widzę park, zabudowania i sporo cywilów kręcących się po parku, Myślę: jakiś obóz. Wsiadam, oni odjeżdżają, brama zamyka się. Wydaje mi się, że ludzie tam spacerujący rozmawiają po niemiecku.

Szukam biura administracyjnego, tłumaczę się częściowo gestem, częściowo po niemiecku. Pokazuje się jakaś pani porucznik, ubrana co

Fot. archiwum ZKP



prawda w spódniczkę, ale poza tym w przepi-sowy mundur khaki armii amerykańskiej łącznie z czapką, sadza mnie, przyprawia innego rosyjskiego tłumacza, jeszcze raz opowiadam, i ona, która już wiedziała, że byłem na Military Police, mówi: „Niestety, proszę pana, fakty są takie, proszę posłuchać. Rząd Stanów Zjednoczonych uznaje aktualny rząd Polski, który urzęduje w Warszawie. Ten rząd ma swojego przedstawiciela, konsula, rezydującego niedaleko stąd. Wobec tego my tu nie przyjmujemy już od wielu miesięcy żadnych uchodźców ze Wschodu, rejestracja ich została zakończona. Jeżeli miałby pan tu gościć, to tylko na wniosek konsula”. – Którego? – pytam – Tego tutaj? – Tak, innego nie ma. W ramach pomocy dla tych, co wracają, za zgodą konsulatu może pan dostać łóżko, łazienkę i trzy posiłki dziennie.

Zrozumiałem i przetasowałem karty. Z optymizmem założyłem, że może ten warszawski konsul nie będzie świętował drugiego dnia Wielkanocy, bo inaczej już nie dałbym rady. Pożegnałem panią porucznik, wyszedłem, na szczęście było ciepło, wiosna w zieleń obfita. Jeszcze jedną noc, trzecią, przyszło mi spędzić tak trochę po partyzancku, już bez broni, ale jednak pod otwartym niebem. Zjadłem resztę tego, co miałem i zasnąłem głęboko, z czapką pod głową, nawet zdjąłem buty, żeby nogi odpoczęły. Rano odczekałem, ile trzeba i pytając o drogę poszedłem do tego konsula.

Zastanawiałem się, jaki mu przedstawić dokument. Miałem dokument wydany jeszcze przez Niemców, kennkartę, przekazaną mi

Jerzy Łopatto (pośrodku), z zawodu mierniczy, wykorzystywał swe umiejętności, budując lotniska polowe dla samolotów RAF-u.



Fot. archiwum ZKP

Ojciec Emanuela, Jerzy Łopatto (1896–1978) spotkał się z synem, potem jednak zdecydował się wrócić do kraju.

przez AK i opatrzoną według ówczesnych wymogów pieczęcią rejestracyjną z milicji sowieckiej w Wilnie. Tego nie mogłem mu pokazać, a z drugiej strony inne dokumenty były jeszcze gorsze, nie mógł przecież zobaczyć karty repatriacyjnej. Wziąłem kennkartę pod podeszwę i starłem pieczęć, tak że nie było widać, że jest sowiecka. Poza tym była w porządku, składana na cztery. Zostałem przyjęty przez wicekonsula. – Proszę pana, mam taki problem – powiedziałem. – Pan wie, że ci faszystki wszystkich zatrzymują. Nie będę panu opowiadać, jak dotarłem do tego Berlina, teraz nie wiem, co dalej, bo nie mam gdzie spać, ani co jeść, a chciałbym do tej Polski nareszcie, budować socjalizm i ludowość w kraju, gdzie każda para rąk się przyda, ja je mam, więc dla czego nie jechać, a tu zawracanie głowy z protestami i oczekiwaniem na trzecią wojnę światową. Pan mnie rozumie? – Rozumiem – odpowiedział. – To proszę zapisać, jestem taki a taki. – A kiedy pan chce jechać? – Wczoraj byłoby najlepiej. A kiedy teraz odchodzi pociąg? – We środę wieczorem. – A co do tego czasu? – Ja mogę pana posłać na te dni do obozu. – Ach, tak, słyszałem o nim. Usiadł, napisał i... „do zobaczenia w kraju”.

WM: To był poniedziałek, tak? Zyskałeś czas do środy.

EŁ: Uznałem się za żywego do środy. Myślę sobie: teraz pójdę, wykąpię się, najem, wyśpię, a we wtorek wszystkie biura będą już otwarte. Znajdę odpowiedzialnego durnia, który skontaktuje mnie z kim trzeba i pojedę do strefy brytyjskiej. Wracam do pani porucznik i bez słowa kładę przed nią skierowanie. Ona patrzy na mnie, ja patrzę na nią, daje mi te bony i żadne słowo nie pada między nami. Nie wiem, co ona sobie pomyślała. Poszedłem do stołówki, gdzie za każdym razem brano ode mnie jeden kupon, dostałem też miejsce do spania.

WM: Dobrze karmili?

EŁ: Tak, normalna stołówka, ale wszyscy naokoło mówili po niemiecku, nie mogłem zrozumieć, co to za miejsce. Okazało się, że to byli Łotysze, z Kurlandii i tak dalej. Burżuazja łotewska, która zdążyła na czas wyjechać z kraju. Ponieważ wcielenie Łotwy, Litwy i Estonii do ZSRR nie zostało uznane przez Stany Zjednoczone, więc ci, którzy stamtąd uciekli, mieli prawo do statusu uchodźców politycznych. Ja nie byłem z Łotwy, a Litwina trudno mi było udawać.

We wtorek rano, wyspany i najedzony, nawet z paroma paczkami papierosów, które tam wykombinowałem, ruszyłem do czynu.

WM: A pieniądze jakieś Ci dali?

EŁ: Nie, zresztą pieniędzy nie miałbym na co wydawać, za wyjątkiem biletów, przecież kartek nie miałem, a w obozie wszystko było opłacane ze składek amerykańskiego podatnika. Wtorek i środa to były najbardziej intensywne dni w moim życiu, jeździłem jak opętany, w którejś chwili wylądowałem nawet w Poczdamie, bo już mi się kręciło w głowie, ale nic absolutnie nie wskórałem. W dowództwie angielskim o lotnictwie nie było informacji. Akurat major był na urlopie, a bez niego nic. Francuzi też nic, jeden z nich zająknął się, że można by do Legii Cudzoziemskiej, ale poza tym też nic. Przespałem się jeszcze raz, zjadłem śniadanie, jeszcze pojeździłem, zjadłem obiad i myślę, co dalej. Jedyne, co mogłem zrobić, to powiedzieć, że spóźniłem się na pociąg.

Jadę sobie S-Bahnem, skończyły mi się bony, więc nadchodząca noc musiałbym znów spędzić w ruinach. W pewnej chwili słyszę, że dwaj, którzy siedzą przede mną, rozmawiają po polsku z bardzo dziwnym akcentem. To mnie trochę oderwało od moich myśli. Na następnym przystanku jeden z nich wysiadł. Przysiadłem się do drugiego i mówię: „Przepraszam pana, słyszałem przypadkowo, że pan mówi po polsku, a ja mam taki mały problem, nie bardzo znam niemiecki, a chciałbym kupić marki, bo mam złotówki”. On pyta, po jakim kursie. Wiem już, że dobrze trafiłem i odpowiadam, że mam 500 złotych, myślę, że z 250 marek są one warte. Kurs był wtedy jeden do jednego. On wyciąga 250 marek i inkasuje to, co wygrałem w oczko w ostatnim dniu przed przekroczeniem granicy. W myśli podziękowałem chłopczkowi, który ze mną przegrał.

WM: To były już wschodnie marki?

EŁ: Nie, wtedy jeszcze były stare, przedwojenne, wszędzie takie same. Jedziemy sobie, rozmawiamy, mówię, że miałem przejściowe trudności, ale od czasu do czasu otrzymuję złotówki i pan rozumie, tutaj właściwie nic nie można kupić za te marki. Dowiaduję się, że też trafił do obozu, a pochodzi z Czerniowiec.

WM: Czerniowce to Rumunia.

EŁ: Tak, a rozmawiali po polsku, żeby nie mówić w jidisz. Z kontaktu ze mną był zadowolony, zrobił dobry geszeft. Po chwili mówi: – Może by pan chciał wyświadczyć mi małą przysługę. Jutro rano w moim obozie rozdają suchy prowiant. A przy jego odbiorze trzeba pokazać kartę identyfikacyjną mieszkańca obozu... – Z przyjemnością – odpowiadam – bo pan chyba ma dwie? – Ja mam swoją oraz kolegi, który chwilowo jest poza Berlinem. Ale

ten, który rozdaje, to Amerykanin z UNRRA i pamięta twarze. Nie lubi, kiedy ta sama osoba podchodzi dwa razy.

Zgodziłem się, ale zaznaczyłem, że będę musiał u niego przemocować, bo inaczej nie trafię tam rano. – Oczywiście – powiedział – wejdzie pan razem ze mną, okaże pan glejt strażnikowi, a ja potem wskażę panu łóżko kolegi. Przy przechodzeniu do jadalni też się okazuje glejt.

Tak też zrobiliśmy. Powiedział, że mam mu oddać prowiant z wyjątkiem papierosów. Zjedliśmy kolację, dostałem łóżko, rano ogoliłem się i stanęliśmy w kolejce. Raz w tygodniu była taka dostawa. Dostałem, jak wszyscy, woreczek, podpatrzyłem, co on bierze, zapakowałem identyczne rzeczy i wyszedłem. Zobaczyłem błysk zadowolenia w jego oczach. Oddałem mu wszystko, a on mi zwrócił 5 czy 6 paczek papierosów. W odpowiedniej chwili spytałem, czy mogę na razie zatrzymać ten glejt, bo stąd przypuszczalnie są jakieś odjazdy (czyli mógłbym zwiać). On potwierdził i zgodził się, bym zatrzymał tę kartę do powrotu kolegi. To był nieprawdopodobny łut szczęścia.

Następnego dnia, w piątek, zobaczyłem, jak się wyjeżdża. Dwa razy w tygodniu na duży plac wewnątrz obozu w ślad za jeepem przyjeżdżały cztery amerykańskie ciężarówki z bardzo wysokimi burtami chroniącymi przed wiatrem i kurzem. Wyciągano schodki, stawał żołnierz ze spisem 50 nazwisk. Wyczytani występowali na plac, jechali tymi ciężarówkami do Hanoweru, tam nocowali i pociągiem udawali się do Monachium.

WM: Czyli przejeżdżali przez rosyjską strefę okupacyjną, ale Rosjanie w ramach tranzytu ich nie ruszali.

EŁ: Nic im nie mogli zrobić, najwyżej sprawdzić dokumenty kierowcy. Zastanawiałem się, co dalej. Na wyjazd trzeba by czekać trzy miesiące, taka była kolejka. Do tego obozu przyjeżdżano nowych, widziałem, jak przyjeżdżały ciężarówki z ludźmi bezpośrednio z Polski, których nikt nie kontrolował po drodze. Ale to była inna sprawa. Stąd, z obozu UNRRA, po dwieście osób odjeżdżało w piątki i we wtorki.

WM: Co to był właściwie za obóz?

EŁ: Obóz UNRRA dla wychodźców. Teoretycznie mniej więcej taki sam, jak wszystkie inne. To byli ludzie, którzy uciekali ze wschodu. Z Rosji przyjeżdżali do Polski, a stamtąd trafiali tutaj.

WM: Nie było tam Polaków?

EŁ: Byli to obywatele polscy wyjeżdżający do Palestyny.

WM: Czyli krótko mówiąc, to byli przeważnie Żydzi?

EŁ: Tak, całe rodziny. Te, które przeżyły gdzieś tam na wychodźstwie, wypuszczane z Rosji i wypuszczane z Polski. (...)

Aby stamtąd wyjechać na Zachód, a chciałem to zrobić jak najszybciej, w następny wtorek musiałbym się znaleźć w jednej z ciężarówek do Hanoweru. Miałem więc cztery doby na rozwiązanie problemu, jak się znaleźć w jednej z nich. Oglądałem plac podczas załadunku, na którą ciężarówkę i w jaki sposób wskoczyć. Pierwsza staje tutaj, druga tam, potem trzecia i czwarta. Czyli czwarta rusza ostatnia.

I rzeczywiście tak było. Jak odjeżdżali, wpuszcili po 50 osób do każdej, podnieśli tylne burty i oficer, który siedział w jeepie, pojechał pierwszy, a potem kolejno cztery ciężarówki. Czyli trzeba stać przy lewym kole czwartej, żeby na nią wskoczyć w chwili, gdy rusza. Wtedy oficer jest z przodu. Optymalny moment nadchodzi, kiedy żołnierze wsiadają do szoferek i zapalają motory.

We wtorek stałem naprzeciw lewego koła czwartej ciężarówki. Zaczęli zamykać. Uzgodniłem ze stojącym obok mężczyzną, że mi wrzuci plecak, kiedy wskoczę. Burta była bardzo wysoka, trzeba było podnieść ręce do góry i odbić się od koła. Żołnierz już siedział w szoferce. W chwili, gdy ruszały pierwsze dwie ciężarówki...



Fot. archiwum ZKP

Wojenne rozkazy zawiodły Jerzego do Quakenbrück, niewielkiego miasteczka w Dolnej Saksonii. Gdy fotografował się na tle zniszczeń, nie przypuszczał, kto go wkrótce odwiedzi.

żarówki, zobaczyłem, że jeden ze stojących wkoło ludzi, całkiem młody, zrobił to, co zaplanowałem dla siebie. Wskoczył na ciężarówkę, a ja za nim, zaraz złapałem też mój plecak.

Ruszyliśmy. Zastanawiałem się, czy któryś z Amerykanów coś zauważył. Jeżeli zauważył, że jest nas dwóch, to albo zapomni o tym, albo nas zdejmie. Ale jeżeli zauważył na przykład mnie, bo byłem mniej szybki, lub mój plecak leciał większym łukiem, to kiedy dojedziemy do strefy sowieckiej na autostradzie, ten oficer podejdzie i zrobi to, do czego był uprawniony – sprawdzi lub po prostu wysadzi. Pomyślałem, że trzeba być optymistą, jeżeli chce się coś załatwić. Poszedłem więc powolutku w stronę soferki, gdzie stał jakiś wózek z dzieckiem, powiedziałem, że się źle czuję i siadłem na podłodze koło wózka, przykryłem się trochę moją kurtką, na brzuchu położyłem sobie plecak i wyglądało, że drzemię. To była długa droga, w każdym razie dłużyła mi się bardzo.

WM: A ci ludzie stali tak przez cały czas?

EŁ: Niektórzy siedzieli, ale większość stała. W końcu to było kilka godzin. Słyszę nagle, że się zatrzymują, bo czas na kontrolę dokumentów. Do naszej, czwartej, podjeżdża jeep. Kątem oka dostrzegam oficera, który włązi bezpośrednio z jeepa na tył ciężarówki i sprawdza dokumenty. A tamten młody był pewien,

że go nie zobaczono. Rozmawiał z kimś, widać było, że to jego krewny i chciał jechać razem z nim, nie czekając swojej kolei. W pewnej chwili podniosły się głosy, więc wysunąłem głowę, rozumując, że nie ma po co się chować, bo jeżeli widział dwóch, to dojdzie i do mnie, a jeżeli widział jednego, to tamten mu wystarczy. Już byłem troszeczkę podniesiony na duchu, że nie mam być tym pierwszym. Zobaczyłem, jak oficer trzyma tamtego za kołnierz, nie zważając na protesty i gestykulacje prowadzi go do jeepa, wsiadają i wracają do Berlina.

WM: Nie zostawili go jednak w rosyjskiej strefie okupacyjnej.

EŁ: Nie, zabrali go do obozu, o ile tylko miał obozowy glejt. Oficer miał rozkaz przyjmowania według listy i nikogo więcej. Ruszyliśmy i pomyślałem, że teraz trzeba mi już tylko dojechać do granicy, chyba ostatniej i najważniejszej. Zrelaksowany podziwiałem pejzaż i po raz pierwszy w życiu autostradę, pustą, po której sunęły te cztery ciężarówki. W końcu zobaczyłem wielką bramę tryumfalną z profilami Stalina i Lenina, Marksa i Engelsa po bokach. Kontrola dokumentów kierowców przebiegła sprawnie i ruszyliśmy dalej.

WM: Waszych dokumentów nie sprawdzali, tylko żołnierzy?

EŁ: Naszych nie mieli prawa, bo wewnątrz samochodu czy pociągu stanowiło terytorium Stanów Zjednoczonych. Mogli sprawdzić tylko dokumenty na przejazd, które były z pewnością poświadczone przez autorytet sowiecki. Oni dawali pozwolenie, ale nie mogli sprawdzać zawartości aut. W ten sposób przekroczyłem żelazną kurtynę.

WM: I wtedy poczułeś się szczęśliwy.

EŁ: Poczuję się szczęśliwy. Jechaliśmy dalej szosą na Hanower, już w Brytyjskiej Strefie Okupacyjnej. (...) Dotarliśmy w końcu na miejsce i na ulicach miasta zobaczyłem dziwne osoby, ubrane w mundury, ale w spódniczkach i z kobzami. Byli to Szkoci.

WM: Jaki to był dzień?

EŁ: To był wtorek drugiego tygodnia po Wielkanocy. Do noclegowni przyjechaliśmy po zmroku, bezpośrednio na spanie. Stały tam trzypiętrowe łóżka, dostaliśmy dosyć normalną kolację, poszliśmy spać. Wiadomo było, że następnego dnia rano jedziemy na dworzec.

WM: A Twoi współtowarzysze podróży nic nie mówili, że Ty jedziesz nielegalnie?

EŁ: Nie wiedzieli. Być może ktoś tam zauważył, ale potem wszyscy się wymieszali, każdy myślał o własnych sprawach. Jak się później dowiedziałem, jechali do Monachium, a stam-



Fot. archiwum ZKP

Po długiej podróży, pełnej dramatycznych chwil i szczęśliwych zbiegów okoliczności, Manius wreszcie odnalazł ojca. Quakenbrück, 1946 r.

tdą Amerykanie wieźli ich na południe Włoch, do Brindisi. Tam ładowali na statek, który musiał ominąć blokadę angielską, więc nocą w jakiś dziwny sposób płynęli do Palestyny. Anglicy blokowali wówczas ten ruch, by nie kłócić się z Arabami. Nie miałem żadnego zamiaru z nimi jechać. (...) Rano wszyscy razem poszliśmy szeregiem na dworzec.

Po drodze zobaczyłem dwóch młodzieńców w mundurach z orzełkami na beretach i to był koniec mojej przygody z UNRRA. Podszedłem do chłopców, spytałem, jak się mają. Zaskoczenie było duże. Okazało się, że to akowcy, którzy trafili do niewoli w 1944 r., po upadku Powstania Warszawskiego. Właśnie rozmyślali, co robić dalej. Ponieważ ja przybyłem z Polski, witali mnie entuzjastycznie i zaprosili do siebie. (...) Było mnóstwo gadania, w które i ja dałem się wciągnąć. Nie wiedziałem tego, co wiedzieli oni, lecz im chodziło o to, co ja wiem, bo do tak świeżych informacji o Polsce nie mieli dotąd dostępu. Jako że byli to koledzy z AK, starałem się poinformować ich o aktualnej sytuacji w Kraju. Byli to chłopcy mniej więcej w moim wieku, może parę lat starsi, z przeżyciami nie mniej intensywnymi niż moje. (...) Wyjaśniłem im swój problem, wieczorem wstawili jakieś łóżko, a rano poszliśmy wreszcie załatwiać moją sprawę na dworzec, gdzie była komenda wojskowa.

Podziwiałem nadal orkiestry, które maszerowały i grały z okazji jakiegoś święta pułkowego czy dywizyjnego w BOAC, czyli w brytyjskiej strefie okupacyjnej. Moi koledzy byli w stanie porozumieć się z urzędnikiem po angielsku, wytłumaczyli mu, o co chodzi. Pokazałem list od ojca jako mój glejt przewodni. Urzędnik zadzwonił do RAF-u. Obok telefonu stała tablica, niemal szkolna i w pewnej chwili zobaczyłem, że bierze kredę i przyciskając słuchawkę do ucha, zaczyna pisać: Quakenbrück. Położył słuchawkę, powiedział, że mój ojciec jest tam, a mam jechać przez Osnabrück. Pokazał mi to na mapie. Prawdopodobnie będę musiał tam przenocować, ale jest tam obóz dla osób, które mają do tego prawo, a ja miałem glejt. Pociągi jeździły tylko za dnia, więc dopiero nazajutrz mogłem udać się do Quakenbrücku. Pożegnałem moich akowców. Tutaj w kasie żądali już tylko pieniędzy i ruszyłem pociągiem do Osnabrücku, gdzie dali mi łóżko.

WM: Był tam obóz dla przesiedleńców?

EŁ: Też obóz UNRRA, dla uciekinierów politycznych. Powiedziałem, dokąd jadę i że chodzi o jeden nocleg, nie było problemu. Dostałem nawet jakieś puszki, choć wcale nie posiłem

Fot. archiwum ZKP



„Myślałem, że będę na ojca patrzeć do góry, tak jak wtedy, gdy go ostatni raz widziałem, ale okazało się, że jesteśmy tego samego wzrostu”.
Jerzy i Emanuel Łopatto,
Quakenbrück, 1946 r.

o nie, ale skoro dali, to wrzuciłem je do plecaka. Następnego dnia rano wsiadłem do pociągu i dojechałem do Quakenbrücku. Zobaczyłem orzełki na czapkach polskich lotników i na czarnych beretach żołnierzy dywizji pancerniej gen. Maczka. Wskazano mi drogę. To było parę kilometrów, poszedłem spokojniutko. Na ile można iść spokojniutko...

WM: Na pewno czułeś napięcie przed takim spotkaniem.

EŁ: Podchodzę do bramy, siedzi żandarm. Odezwał się po polsku, spojrzał z sympatią. Mówię, że jadę do ojca, który jest tutaj. Prosi o zostawienie jakiegoś dokumentu. Z tych wszystkich papierów, które miałem po jednym w każdej z czterech kieszeni kamizelki i w dalszych czterech, zostawiłem mu jeden, żeby było śmieszniej – kartę repatriacyjną, ową „sprawkę”, którą dało mi AK.

Poszedłem, zgodnie z jego wskazówką, do bloku numer 19, na pierwsze piętro. Tam ktoś mnie zagadnął, co tu robię jako cywil? Wyjaśniłem, podałem nazwisko i usłyszałem: „Zaraz mu powiem”. Zostałem na korytarzu, tamten skręcił w boczne drzwi, gdzie były biura działu budowy lotnisk – siedzieli tam sami technicy. Zobaczyłem idącą ku mnie postać w długich spodniach i bluzie lotnika. Zrozumiałem, że to ojciec, choć nie miał wąsików. Instynktownie myślałem, że będę na ojca patrzeć do góry, tak to było, kiedy go ostatni raz widziałem, ale okazało się, że jesteśmy tego samego wzrostu. On mnie poznał, powiedział: „To ty? No to chodź”. To był moment absolutnie nie do zapomnienia. On tego dnia przestał pisać swoje notatki. W ostatniej podał datę naszego spotkania: czwartego maja.